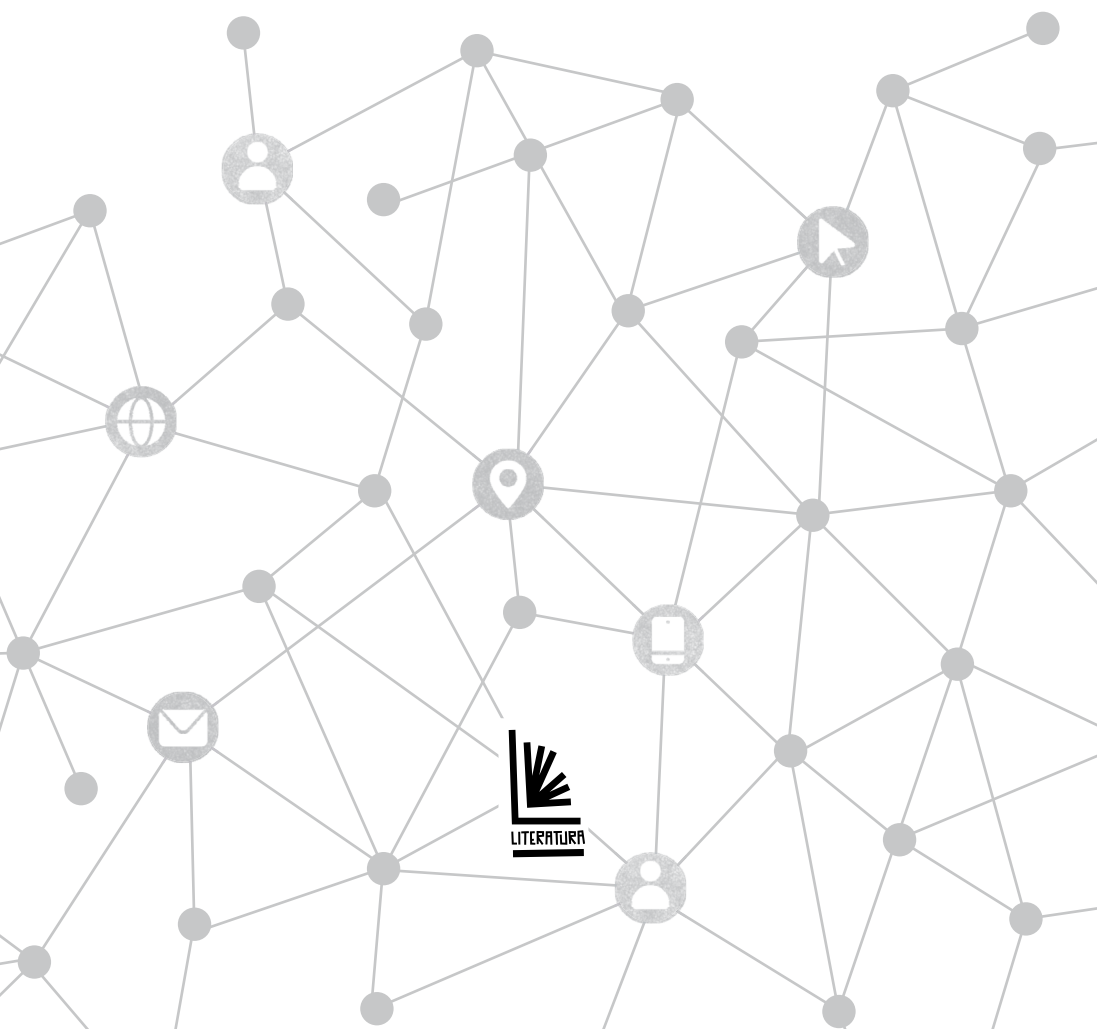


PAWEŁ BERĘSEWICZ

SZEPTANE



Rozdział pierwszy

Paweł Beręsewicz

Szeptane

© by Paweł Beręsewicz

© by Wydawnictwo Literatura

Okladka:

Skład i korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I w Wydawnictwie Literatura

Łódź 2023

ISBN 978-83-8208-170-1

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

– A może by tak na pizzę? – powiedziałem uwodzicielsko, wyciągając z talii kolorową ulotkę.

Kobieta łypnęła wściekle i gniewnym strzepnięciem przegoniła mnie z drogi.

– Wredna baba! – mruknąłem pod nosem i ugodziłem ją w plecy zatrutym spojrzeniem.

– Jaką pizzę, baranie? – zaśmiał się Bartek.

Zerknąłem na ulotkę. Faktycznie, nie pizza. Pizzę rozdawaliśmy wczoraj. Najsmaczniejszą, najtańszą i najwłoszszą. Dzisiaj był Slimo...? Co takiego? – Przysunąłem papierek bliżej oczu.

– Co to jest Sli-mo-mix?

– A bo ja wiem? – Bartek wzruszył ramionami. – Szef mówił, że karma dla ślimaków, ale chyba jaja sobie robił.

Szary lutowy poranek nadciągał powoli, ale na duży postęp w temacie jasności tego dnia raczej nie należało liczyć. Tłum zaspanych ludzi wylewał się z metra i rozpływał po dnie płytkiej niecki, zwanej przez warszawiaków Patelnią. Tam rozdzielał się na mniejsze strumienie i powoli wsiąkał w miasto. Wilgotna, chłodna szarość wciskała mi się pod podkoszulek szczeliną między skórą a kołnierzem kurtki, by grzać zmarznięte łapy na

moich ledwo ciepłych plecach. Kaptur na głowie? Wykluczone! Szczere spojrzenie miłych oczu to podstawa w tym fachu. Kto by zaufał zakapturzonemu typowi w kwestii Slimomiksu? Westchnąłem ciężko. Plik w mojej dłoni dorównywał grubości czwartemu tomowi *Harry'ego Pottera*, a w plecaku miałem jeszcze takie dwa.

– Polecamy Slimomix – szczebiotał parę kroków dalej Bartek i z profesjonalnym uśmiechem machał ludziom przed nosem kolorową karteczką.

Dalej, w wejściu do podziemi, rozdawał Jacek, a Uszatek obstawiał schody w kierunku Alej. Żeby poszerzyć zasięg sieci, przesunąłem się bliżej Marszałkowskiej i stanąłem parę metrów od perkusisty, który już od samego rana bębnił na pustych puszkach, kubkach i nogach od krzesła, licząc na to, że energiczne walenie choć na chwilę wyrwie przechodniów z porannego transu i zmusi do zwolnienia kroku.

– Slimomiksik dla szanownej pani! – Podałem ulotkę kobiecie w rozwianym płaszczu idącej prosto na mnie ze styropianowym kubkiem w ręce.

Zrobiła zwód na wysokich obcasach i minęła mnie niczym Messi wrośniętego w ziemię obrońcę. Messich w ogóle było najwięcej – niektórzy nawet zdążali w czasie dryblingu pokręcić głową i powiedzieć „dziękuję”. Sporą grupę stanowili też tacy, którzy brali ulotkę i nie czytając, wkładali do kieszeni, gdzie już czekały poprzednie, zgromadzone od czasu ostatnich porządków w kurtce. Nierzadko oczywiście jeszcze na moich oczach ulotki zmieniały się w papierowe kulki i lądowały w koszu na śmieci lub na szarych płytach chodnika.

Zdarzało się też na szczęście – choć raczej niezbyt często – że jakiś przechodzień rzucał okiem na treść i nagle dobra

nowina w zetknięciu z uśpionym marzeniem rozpalała iskry w spojrzeniu. To były te chwile, kiedy musiałem w duchu przyznać, że w życiu, oprócz czterdziestu złotych za tysiąc sztuk, liczy się też satysfakcja z pracy.

– Naprawdę myślisz, że potrzebuję? – spytała dziewczyna, którą dopadłem, kiedy nieopatrznie zwolniła przy szalonym bębniarzu.

Na ramieniu miała płócienną torbę z białym kotkiem na czarnym płotku, a spod wełnianej czapki à la dymiący wulkan spływały na plecy lekko skłębione pasma włosów. Były przedziwnego koloru, który z głębokim poczuciem niedoskonałości języka uznałem za jeden z miliona możliwych odcieni rudości. Na moje oko wyglądała licealnie. Trzymała ulotkę w palcach, nieufnie zaglądała na pusty rewers i śmiesznie marszczyła nos.

– Absolutnie – powiedziałem z pełnym przekonaniem. – To najlepszy produkt na rynku.

– A jak działa?

– Doskonale.

– Próbowaleś?

– Oczywiście!

– I co?

– Rewelacja!

Obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem i kpiąco wydeła wargi.

– Właśnie widzę! – prychnęła i ruszyła w stronę przejścia podziemnego.

Po kilku krokach, nie patrząc w moją stronę, podniosła w dwóch palcach ulotkę Slimomiksu i wystudiowanym ruchem filmowego wampa strzepnęła ją sobie za plecy. Pomyślałem

głupio, że ten mały świstek za nic w świecie nie może znaleźć się na ziemi, i odruchowo skoczyłem do przodu. W ostatniej chwili wsunąłem rękę między płytę chodnika a szybującą w powietrzu karteczkę. „*Eliksir szczupłości!* – krzyczały czerwone litery. – *Masz kilogramy na zbyciu? Slimomix się tym zajmie!*”

A więc to o to chodzi! – zrozumiałem i popatrzyłem w ślad za odchodzącą dziewczyną. Stanowczo nie miała kilogramów na zbyciu. Poczułem coś jakby ciepły podmuch na twarzy, a potem nagle ogarnęła mnie złość.

– Co znaczy „właśnie widzę”? – mruknąłem i położyłem rękę na brzuchu.

Zupełnie płasko nie było, ale bez przesady.

* * *

W ulotkach robiliśmy we wtorki i czwartki. Szliśmy wtedy na trzecią lekcję i rano mogliśmy podyżurować na Patelni. Po pracy wskakiwaliśmy w metro i pędziliśmy do szkoły. Nasze liceum było dwa kroki od stacji Raclawicka i często udawało się zdążyć.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że Bartek zatrudnił się w tym fachu, pomyślałem, że mu odbiło. Wstawać przed piątą? Snuć się po ciemku po zasmrodzonych podziemiach? Wcisnąć ulotki zaspanym zombie? Musiałbym chyba upaść na głowę!

Albo mieć wielkie marzenie.

To, że finał Ligi Mistrzów zostanie rozegrany na Stadionie Narodowym w Warszawie, wiedzieliśmy od kilkunastu miesięcy. Dokładnie piętnastu. Wieść gruchnęła tuż po moim powrocie z Londynu, gdzie spędziliśmy z rodzicami dwa lata

w związku z pracą mamy w angielskim oddziale jej firmy. To były moje pierwsze tygodnie w gimnazjum. Od razu w trzeciej klasie – dwie pierwsze przepadły mi przez Anglię. O meczu Jacek dowiedział się z radia i podekscytowany przyleciał do szkoły.

– Widzisz? – Szarpał mnie wtedy za rękaw. – U nas też dzieją się takie rzeczy!

Bartek z Uszatkiem przyszliznęli ze swoich gimnazjów równie dobrze poinformowani i od początku pierwszej klasy liceum temat Meczu Stulecia stał się jednym z elementów cementujących naszą przyjaźń. Przykładowa rozmowa wyglądała tak:

– I pomyśleć, że rzut beretem od naszej szkoły będzie hasał taki Ronaldo – wzdychał dajmy na to Uszatek.

– No... albo Lewandowski – dodawałem patriotycznie.

– Albo Sadio Mané. – Jacek był fanem Liverpoolu.

– Liverpool w finale? – prychnęliśmy chórem, a on dąsając się, burczał:

– A co? Pomarzyć nie można?

Ale nawet Jacek uważał, że w marzeniach istnieje granica bezczelności, której nie wolno przekraczać. Stąd szok, który, podobnie jak ja i Uszatek, przeżył pewnego dnia gdzieś na początku stycznia.

Siedzieliśmy w stołówce – cała nasza czwórka z Id – i bez specjalnego pośpiechu raczyliśmy się pomidorową z ryżem. Tematem rozmowy była tym razem kultura, nie sport. Zastanawialiśmy się mianowicie, czy to możliwe, że Rey jest zapomnianą siostrą Kyla Rena. Uszatek twierdził, że wszystko na to wskazuje, Jacek był przeciwnego zdania. Wtedy nagle Bartek z hukiem urwał się z choinki i palnął zniechacka:

– A gdyby tak pójść na ten mecz?

Łyżki zamarły w powietrzu. Spojrzeliśmy na niego zaskoczeni, ale nie zdezorientowani.

„Ten” mecz mógł być tylko jeden i nawet przebywając w odległej galaktyce, wiedzieliśmy, o czym mowa. Bartek patrzył na nas twardo, jakby chciał rzucić wyzwanie wszelkim niemożnościom świata, a lekko wysunięta dolna szczęka świadczyła, że mówi poważnie. Wystarczył skok w nadprzestrzeń i byliśmy z powrotem.

– Jak?! – wykrztusiłem.

– Normalnie. – Wzruszył ramionami Bartek. – Metrem na stadion.

– A bilety?

– Nie macie karty miejskiej?

– Oj, weź przestań! – zezłościł się Uszatek. – Skąd weźmiesz bilety na mecz?

Bartek zrobił minę, jakby tłumaczenie głądom oczywistości wymagało niezwykłego hartu ducha.

– Kupimy? – powiedział z sarkastycznym znakiem zapytania.

Sto sześćdziesiąt euro – tyle podobno miała kosztować najtańsza wejściówka. Uszatek sprawdził kurs w smartfonie (4,33), przełączył na kalkulator i zbladł, widząc wynik mnożenia.

– Sześćset dziewięćdziesiąt dwa złote, osiemdziesiąt groszy! – jęknął.

W gruncie rzeczy poczułem ulgę. Kwota wydawała się tak nieosiągalna, że mogłem z czystym sumieniem zwolnić się z jakichkolwiek rozważań.

– Fajnie – mruknąłem zgryźliwie. – Osiemdziesiąt groszy już mam.

Na znak, że temat skończony, wróciłem do pomidorowej, a Jacek z Uszatkiem poszli w moje ślady. Ale temat nie był skończony. Bartek miał sprawę dogłębnie przemyślaną. Też, jak twierdził, groszem nie śmierdział, ale za to wiedział, jak zarobić. Wtedy proponował nam te ulotki. Sam pracował tak już od kilku tygodni i przysięgał, że to robota marzenie.

– Nic nie musisz robić – zachwalał. – Stoisz, rozdajesz i tyle. A kasa płynie.

Nie powiem, taka perspektywa wydała mi się nawet dość kusząca – zwłaszcza ze Stadionem Narodowym w tle – tylko to wstawanie przed piątą nie za bardzo mi się podobało.

– No nie wiem – mruknąłem. – Potem będę cały dzień spał w szkole.

– A tak to nie śpisz?

Pił pewnie do tego kretyńskiego mema ze mną w roli głównej, który na początku roku krążył po okolicznych Facebookach a nawet podobno zrobił ogólnosieciową karierę. Na zdjęciu siedziałem w klasie z zamkniętymi oczami i wyglądałem, jakby jakiś nagły skok grawitacji pociągnął całą miękką tapicerkę mojej twarzy w stronę środka ziemi. Całości dopełniał napis: „Ach, śpij, kochanie! Niech prześlicznie ci się śni równanie!”. Nie miałem pojęcia, kiedy Uszatek zrobił to zdjęcie, ale na pewno nie na matematyce. Matematyka stanowczo nie stwarzała warunków do spania. Jedyne przedmiot, na którym w grę wchodziło przysnięcie – choć raczej na pewno nie przysnąłem – to angielski.

Nie żeby lekcje były wyjątkowo nudne, poziom szczególnie niski czy ja wybitnie uzdolniony – przez dwa lata w angielskiej szkole każdy by się nauczył języka. Setki razy wyjaśniałem, że

zdjęcie musiało po prostu przypadkowo uchwycić moment mrugnienia – no, może połączonego z ziewnięciem – ale przecież nie spałem! Nic z tego. Internety wiedzą swoje. „Śpiąca Królewna z Id” to i tak nie najgorsze, co się może do człowieka przylepić.

– Bardzo śmieszne – burknąłem z przyzwyczajenia. – A ile da się zarobić na tych ulotkach?

Bartek twierdził, że gość, dla którego rozdaje, płaci cztery grosze za sztukę i że w godzinę można wyciągnąć nawet i dwie dychy! Obliczyłem sobie szybko, że jeślibym rozdawał dwa dni w tygodniu od siódmej do dziesiątej (trzecia lekcja zaczyna się co prawda za pięć dziesiątą, ale zawsze coś się wymyśli) zarobiłbym sto dwadzieścia złotych tygodniowo, co przez dziewięć tygodni, jakie zostały do finału Ligi Mistrzów, dałoby... sprawdziłem jeszcze raz, czy mi się kalkulator nie popsuł – dwa tysiące osiemdziesiąt złotych!

– A czego by to były reklamy? – zapytał nagle Jacek tak nie na temat, że nawet nas, przyzwyczajonych do jego dziwactw, na moment zatkało.

– A co to za różnica, Święty? – prychnął Bartek, a ja z Uszatkiem zaczęliśmy się rozglądać, żeby ukryć zażenowane uśmieški.

Ksywka „Święty” przylgnęła do Jacka nieprzypadkowo. Ciężkie jasne włosy powracające na czoło mimo uporczywych prób zgarnięcia ich na bok, lekko zamglone błękitne oczy, duże usta delikatnie przekrzywione w łagodnym uśmiechu – do takiej twarzy aureola pasowałaby jak ulał. Ale kanonizację zawdzięczał nie tylko wyglądowni. W równej mierze przyczyniły

się do niej obowiązkowość, punktualność, uczciwość i powaga, z jaką rozważał moralne konsekwencje każdego kiwnięcia palcem w bucie. To, że miał na nazwisko Święciak, też pewnie nie było bez wpływu.

– No... nie wiem... – Zaczerwienił się teraz. – Ale niektóre rzeczy to tak głupio reklamować, nie?

– Na przykład jakie? – spytałem.

– No... no... – rozpaczliwie szukał przykładów i coraz bardziej się rumienił.

– Posłuchaj, chłopie – zaczął Bartek po ojcowsku. – Czy my tu mówimy o dilerce, czy o rozdawaniu ulotek? Bo chyba jest różnica, co?

– No... jest, ale...

– Reklama dźwignią handlu – powiedziałem, bo mi się akurat przypomniało.

Widząc, że nasze argumenty odbijają się od wątpliwości Jacka, nie czyniąc w nich specjalnego wyłomu, z nadzieją spojrzeliśmy na Uszatka. W dziedzinie przekonywania nieprzekonanych nikt nie mógł się z nim równać. Uszatek zajmował się tym niemal zawodowo. Odkąd go poznałem – a z tego, co wiem, to i wcześniej – działał w przeróżnych facebookowych kampaniach społecznych. Ostatnio zaangażował się w akcję „Dość maratonów”. Na jej potrzeby wyliczył, że uczestnicy Maratonu Warszawskiego spalają podczas biegu siedemnaście milionów sześćset tysięcy kilokalorii, które, gdyby ich tak bezsensownie nie spalić, wystarczyłyby, żeby przez rok wyżywić pięćdziesięcioro dzieci w Afryce. To był argument, który ostatecznie przekonał mnie do niebiegania. Czegoś równie mocnego potrzebowaliśmy teraz, żeby skruszyć opór Świętego.